

Roszczeniowcy na placu Taksim

24 czerwca 2013

108 lat temu, 22 czerwca 1905 roku, wybuchło coś, co nazwano później powstaniem łódzkim, a co stało się częścią wydarzeń w całej Polsce w ramach rewolucji 1905 r. W ciągu kilku dni stanęły niemal wszystkie łódzkie fabryki, a na ulicach pojawiły się barykady. Przyglądając się pożółkłym fotografiom i wycinkom z gazet z epoki, nie zastanawiamy się zbyt często, o co ci ludzie walczyli. Jest to dla nas kolejne wydarzenie z zamierzchłej historii, nieaktualne i pozbawione znaczenia. Nic bardziej mylnego.

Wśród żądań ówczesnych robotników znajdziemy takie jak ośmiogodzinny dzień pracy, równe płace dla kobiet i mężczyzn, ubezpieczenia zdrowotne i bezpłatną opiekę nad dziećmi. Wszystko, o co walczyli wtedy, brzmi niezwykle aktualnie także teraz, w dobie prekariatu i umów śmieciowych. Ilu z nas pracuje w nienormowanym czasie pracy, będąc pod telefonem/e-mailem praktycznie cały dzień? Ilu z nas posiada pełne ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne? Ilu z nas, jeśli już zdecydowaliśmy się na posiadanie dzieci, miało szczęście umieszczenia ich w miejskim przedszkolu, a nie musiało polegać na darmowej pracy babci?

Świadomość tego, że posiadamy prawa, jest niezwykle ważna. Prawo do pracy, prawo do godnej zapłaty za nią, prawo do ubezpieczeń społecznych, prawo do bezpłatnego leczenia i bezpłatnej nauki, prawo do posiadania dachu nad głową – to wszystko składa się na katalog najbardziej podstawowych praw, które nam przysługują, a o których coraz mniej z nas pamięta. Bezwiednie, godząc się na coraz gorsze warunki, zapominaliśmy o tych prawach. Aż wreszcie znaleźliśmy się niemal w tym samym miejscu co bojownicy roku 1905.

Ostatnie ćwierćwiecze to pole nieustającego rugowania tej świadomości z umysłów społeczeństwa. Każdy, kto upominał się o

podstawowe prawa, lądował w szufladce z napisem „roszczeniowy”. Nowoczesnemu Polakowi roszczeniowość nie przystawała – nowoczesny Polak zajmował się pomnażaniem swojego kapitału i już za chwilę miał stać się nowym Carringtonem. Jasne było, że aby to osiągnąć, należy zaciskać zęby i przeć do przodu, kosztem swoim i innych, a wszelkie kłopoty i niedogodności napotymane na tej drodze miały być przejściowe.

W ten sposób zgodziliśmy się jako społeczeństwo na ciągłe wyrzeczenia i niedogodności. Wyszukaliśmy, że od tej pory wszystko znajduje się w rękach jednostki, oduczyliśmy się działań zbiorowych. Rozbici i zatowarzyszeni staliśmy się łatwym celem, bo nikt już za nami nie stał. Co gorsza, przyjęliśmy panującą nowomowę – prawa stały się przywilejami, a upominanie się o nie postawą roszczeniową. Każdy, kto podnosił głos w swojej obronie, narażał się na ukamienowanie, jako ktoś, kto przeszkadza w biegu ku świetlanej przyszłości, a prawa, których bronił, należało mu w ogólnej opinii natychmiast odebrać, jako nienależne przywileje. W ten sposób napuszczano jedne grupy społeczne na inne, a podręcznikowym wręcz tego przykładem jest opublikowany niedawno w „Gazecie Wyborczej” list pracownika call center. Jego autor atakuje nauczyciela broniącego swoich praw, zamiast walczyć o takie same prawa dla siebie.

Niepostrzeżenie wyrosło całe nowe pokolenie – nie znające już innego języka i nie potrafiące działać wspólnie. Nawet postawieni pod ścianą prywatyzujemy nasze nieszczęścia i obwiniamy za nie głównie siebie, nie dostrzegając systemu stojącego za nimi. Nie wychodzimy na ulice, zamykając się z problemami w czterech ścianach. Nie mamy świadomości grupowej ani świadomości klasowej, odrzuconej jako niemodna i przestarzała.

Tymczasem poza naszymi granicami wrze. Protesty uliczne rozlały się jak Europa długa i szeroka – wszędzie tam, gdzie usiłowano zaaplikować ludziom drakońskie reformy, zmuszające

do płacenia za nie swoje błędy. Grecja, Hiszpania, Szwecja, a ostatnio Turcja – zewsząd dochodzą głosy o kolejnych manifestacjach i starciach z policją. My pozostajemy na nie głusi, bo kto by sympatyzował z roszczeniowymi warchołami, którym się nie chce pracować?

Plac od wieków był najważniejszą przestrzenią w mieście. Agora, miejsce spotkań, na które każdy mógł przyjść i spotkać się z innymi. W obronie tego w Stambule polała się krew. Ludzie zaprotestowali przeciwko zniszczeniu i prywatyzacji przestrzeni wspólnej, upominając się również o pozostałe podstawowe prawa, których im odmawiano. Rewolucja na naszych oczach rozlała się na dziesiątki innych tureckich miast, napotykać brutalną reakcję rządu. Echa tych wydarzeń dotarły nawet do Polski, każąc postawić sobie pytanie, jak zachowalibyśmy się jako społeczeństwo w podobnej sytuacji?

Każda władza doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak groźna jest duża publiczna przestrzeń położona w sercu miasta. Takie miejsce szybko może się stać ogniskiem protestu, jak np. kijowski Chreszczatyk w 2004 czy plac Tahrir w Kairze. Dlatego władze chętnie odbierają społeczeństwu te obszary, oddając je w zarząd prywatnym inwestorom czy kierując na nie ruch samochodowy. W moim rodzinnym mieście jeszcze w latach 70. zeszłego wieku w ten sposób zniszczono główną arenę robotniczych wieców, jaką był Wodny Rynek. Ten największy plac Łodzi był od końca XIX stulecia widownią wieców, masówek oraz bitew z wojskiem i policją. To tam spotykali się wszyscy, którzy pragnęli zmiany, i to tam szli, aby to pragnienie zmanifestować. Dziś w jego miejscu biegnie wielopasmowa arteria, a smutne resztki placu zajmuje martwy parking. Nie lepszy los spotkał inne dawne rynki mojego miasta – Bałucki, Zielony czy Górny zostały oddane we władanie kupcom, którzy zabudowali je halami.

My jednak nie broniliśmy przestrzeni wspólnych. Nauczeni, że wspólne oznacza tyle co niczyje, nie przejęliśmy się, gdy wspólne nagle stało się czyjeś. Nie odczuliśmy straty, a ci

nieliczni, którzy odczuli, spotykali się z pełnymi politowaniami puknięciami w głowę. W obronie Bałuckiego Rynku nie padł żaden kamień, a drzew w Ogrodzie Krasińskich bronili nieliczni. Żadne z tych miejsc nie stało się zarzewiem protestu, iskrą, która wyzwoliłaby powszechny ludzki gniew.

Mimo to klimat się zmienia. Coraz więcej osób zauważa, że razem można więcej. Coraz więcej osób gotowych jest wykonywać codzienną pracę u podstaw i odzyskiwać przestrzeń dla całej społeczności, a nie tylko dla siebie. Na razie są to małe, kilkudziesięcioosobowe grupki, słabe i izolowane, ale z każdym dniem jest ich więcej. Uczą się identyfikować swoje problemy i odnajdywać ich przyczyny. Uczą się też spoglądać za płot i zauważać, że problemy różnych grup bardzo często mają takie samo podłoże. Na ulicach dużych polskich miast pojawiają się demonstracje solidarności z protestującymi w innych częściach świata. Walczący o dach nad głową lokatorzy prywatnych kamienic otrzymują wsparcie od środowisk anarchistycznych. Mniejszości seksualne wpisały na sztandary Parady Równości żądania godnej pracy i płacy. Ludzie ze, zdawałoby się, zupełnie sobie obcych grup społecznych zaczynają współpracować i walczyć ramię w ramię.

Być może nie doczekamy się swojego placu Taksim i być może w obronie kolejnej zawłaszczanej wspólnej przestrzeni nie padnie żaden strzał. Jednak mam przeświadczenie, że do przesilenia zostało już niewiele czasu. Bądźmy gotowi, bo walka, która się wtedy rozegra, będzie walką o nasze prawa.

Autor: Jarosław Ogródowski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Ogródowski (1983) – społecznik i działacz miejski, członek komitetu organizacyjnego II Kongresu Ruchów Miejskich w Łodzi, współtwórca Ruchu Społecznego Szacunek dla Łodzi, działacz Towarzystwa Opieki nad Zabytkami i Stowarzyszenia

Fabrykancka.